

TUTAJ

KRZYSZTOF RUDOWSKI

Obudziłem się w Europie przesiąkniętej wonią spalenizny. W czasie nudnych lekcji rysowałem na kratkowanych kartkach papieru wojnę. Z lewej – my; z prawej – oni. Wojna już dawno się skończyła, ale na mojej ulicy trwa jej rozsypany się szkielet zmateralizowany w podziurawionych odłamkami bomb fasadach ponemieckich budynków.

W jednym z nich – tam, gdzie jest teraz antykwariat (Platon) – znajdowała się mała piekarnia, do której odbyłem swoją pierwszą samodzielną wyprawę po chrupiącą bułkę kajzerkę za czterdzieści groszy, a babcia wyglądała zapewne przez okno, bacząc, czy przypadkiem nie nadjeżdża samochód; jeden z tych kilku, jakie pojawiały się na tej ulicy w ciągu całego – jakże długiego wtedy – dnia.

Tylko raz otrzymałem z polskiego ocenę niedostateczną. Przyczyną nie było jednak to, że nauczycielka należała do partii. Nie miałem zresztą nic wspólnego z opozycją. Kiedy inni wywracali do góry nogami świat, grałem jazz. Choć nigdy nie wiadomo, jak może to zostać kiedyś zinterpretowane. Być może ci, którzy odważyli się pić w stanie wojennym coca-cola, zostaną uznani za czołowych dysydentów.

Miasto było jeszcze spokojne i ciche, a w letnie dni sprawiało wrażenie, jakby znajdowało się na leniwym końcu świata. Ponad godzinę trwała podróż tramwajem na działkę pełną pachnących piwonii. Po szybie sunęła socjalistyczna fabryka zabawek, która produkowała żywe misie, różniące się znacznie od zalegających dziś sklepy trupów Myszki Miki.

Aby dojść do ogródka, trzeba było minąć stary, niemiecki cmentarz; cichy i pełen bluszczu. Ale któregoś dnia przyjechały spychacze, usunęły płyty nagrobkowe i zrobiono w tym miejscu park. Może wszystkie parki mają taki początek.

Lubiłem tamte czasy, ponieważ wtedy po raz pierwszy się zakochałem. Nie ma lepszych czasów nad te, kiedy się zakochujemy. Za to dzięki wprowadzeniu godziny milicyjnej mogłem swobodnie prowadzić życie seksualne.

Jadąc pociągiem do Warszawy, poznałem pewnego wynalazcę, który przez kilka godzin opowiadał o swoich niedoszłych patentach. W drodze powrotnej, dwadzieścia lat później, to ja plotłem coś podobnego przez całą podróż. Na koniec jeden z moich słuchaczy stwierdził, że niepoprawnie odmieniam słowo tramwaj. To bardzo męczy, gdy zwracają ci wiecznie uwagę.

W pierwszej klasie dostałem linijką w dłoń. Piekący ból powraca, gdy mijam na ulicy moją wychowawczynię; to jedyne wspomnienie z pierwszej klasy. Wszystkie moje nauczycielki miały nieudane życie seksualne. Można było o tym przeczytać z ich twarzy.

W moim kraju zawsze jest okres przejściowy. Jeszcze o tym nie wiem, biegnąc po ostatnim dzwonku na piwo, przy którym muszę wysłuchiwać zwierzeń wykolejonych bokserów ze szkoły Feliksa Stamma.

Miasto nocą było wtedy puste. Pośród ciszy dyskutowaliśmy o sensie istnienia. Teraz ulice się zaludniły, choć pełne są rozmów o niczym. Pewne problemy przestały być istotne, kiedy tracone bez opamiętania złotówki nabrały realnej wartości.

Wielkim nietaktem było zlikwidowanie w wiadomym czasie papierosów marki sport (trzy pięćdziesiąt za paczkę). Tego smaku nie odzyskały już nigdy żadne papierosy, a zapach carmenów (po osiemnaście) przywodził na myśl wielki świat znany z kolorowych ilustracji reglamentowanego pisma „Ameryka”, które – niczym pamiętą relacją z lądowania na Księżycu – wielu ludziom wydawało się mistyfikacją.

W każdej książce roi się od trupów, a już telewizja pokazywała ich kiedyś całe sterty. Na szczęście nie transmitowano zapachów. Chociaż kiedy przychodził spec od napraw i zdejmował wieko telewizora, dobywała się stamtąd specyficzna woń przypalonego kurzu. Patrzyłem zachwycony na elektroniczne lampy, o których uczono mnie na lekcjach fizyki, ale w końcu minęły ich czasy, a teraz i procesor wybiera się do lamusa.

Mam jeszcze w piwnicy na półce starej szafy czarne, winylowe płyty. *Longplaye* kosztowały na początku całe osiemdziesiąt złotych, a potem – to chyba jedyna obniżka cen jaką pamiętam – sześćdziesiąt pięć. Ale królowały pocztówki dźwiękowe.

Śpiewało się wtedy piosenki partyzanckie. Ja sam (mimo słabej pamięci) znam ich tuzin.

W miejscu, gdzie sprzedają dzisiaj skórzane kurtki dla motocyklistów, była publiczna biblioteka. Wypożyczyłem tam kiedyś *Nędzników* i chyba dlatego zostałem konstruktorem.

W szkole nie przykładano zbyt wielkiej wagi do tego, czy uczniowie opanowali tabliczkę mnożenia. Do dzisiaj nie wiem, ile jest siedem razy osiem, ale projektowane przeze mnie konstrukcje stoją w kilku pięknych miastach Europy.

Gdzie ja byłem, kiedy ludzie tworzyli swoje biografie. W osiemdziesiątym roku umarła moja babcia; nic ważniejszego się wtedy nie wydarzyło. A zresztą... świat rozwijał się tylko do roku 1964, a potem już przestał. W końcu to właśnie wtedy Coltrane nagrał *A Love Supreme*, a w Café „Au Go Go” Stan Getz i Astrud Gilberto dali przepiękny koncert.

Pewnego dnia o świcie wypilem mleko wprost z butelki, którą wyjąłem ze skrzynki stojącej przed sklepem spożywczym; tak się dawniej zaspokajało pragnienie wywołane burzliwą nocą. Dzisiaj, według rady Pilcha, należy wypić zimne piwo, ale z piwem zawsze były kłopoty (z czym zresztą nie było?).

Kiedy przychodziło lato, dręczyło nas pragnienie. Słowo upał przechrzcilem w pewnym wierszu na „upal”, który znacznie gorętszy jest od pierwowzoru.

Stare wiersze krążą wokół mojej głowy. Nowe, zaraz po napisaniu, zapominam. Jakie to ma jednak znaczenie, skoro więcej warte są reprodukcje od oryginałów, a hasła reklamowe od poezji. W wierszu Świetlickiego *Całowanie* jest mowa o najważniejszej płycie w historii jazzu, o której sam wcześniej wspomniałem.

Budził mnie czasem stukot kopyt końskich o bruk ulicy. Przejeżdżał wóz pełen węgla lub główek kapusty, mijając garbatą warszawę, a mój rowerek marki „bobo” mknął po chodnikowych płytach pokrytych kredową mozaiką gry w klasy.

Nie lubię Cortáзара. Wolę podróże do źródeł czasu, uwielbiam bowiem wymyślne struktury złożone z najprostszycy słów. Dobrze jest więc należeć do ekskluzywnego klubu skupiającego kilkanaście osób (łącznie z panią Eddą Werfel), które dotarły poza setną stroną dzieła życia Alberta Parisa Gütersloha.

Z przyjacielem wypiliśmy w parku butelkę wina „patykiem pisanego” i był to najszczęśliwszy dzień w moim życiu. Naprawdę.

Nieufność, z jaką odnosili się do mnie wydawcy, wynikała zapewne z wielkiej ilości petentów. Wszystkie problemy świata biorą się ze zbyt wielkiej liczby petentów. Komunizm upadł z tego właśnie powodu.

Z piwem zawsze były kłopoty. Butelki podnosiło się, obracało i sprawdzało pod światło, czy coś w nich nie pływa.

W góry zabieraliśmy plecaki pełne chleba. Nie brakowało tylko octu i zielonego groszku, a w sklepie spożywczym na rogu sprzedawano jedynie lody calipso; reszta na kartki.

Dzisiaj wszystko także jest na kartki, które zmieniły się niepostrzeżenie w skąpo reglamentowane banknoty.

Nie chodzę do teatru. Od dawna przeraża mnie ciemność tuż przed rozpoczęciem spektaklu. A i żaden western, nawet *W samo południe*, nie jest w stanie mnie zaciekawić; brakuje mi głosu Suzina.

Kiedyś telewizory psuły się nagminnie. Trzeba było czasem przyłożyć pięścią; pomagało.

Miasto nocą, bokserzy ze szkoły Feliksa Stamma i my, bohaterowie z wrocławskiego liceum, którzy nie znali Miłosza i Gombrowicza (większości z nas to pozostało).

Pewnego dnia odkryłem, że moi rówieśnicy poszli do wojska, a ja nie; pomimo bohaterskiej śmierci Ignacego Rudowskiego w szarży na przełęczy Somosierra. Moja wojna rozgrywa się na kratkowanych kartkach papieru. Piszę również na takich kartkach.

I cóż mam począć, skoro moja wizja świata nie pochodzi z genialnego dzieła Dantego, lecz zawarta jest w zapomnianym obrazie Różewicza.

Moje miasto już nie jest moje. Pożarty je jakieś obce samochody, pozajmowały chodniki i oznaczyły swoje miejsca kroplami brunatnego moczu z misek olejowych.

W Polsce i w moim domu (domu syna warszawiaka) powstanie warszawskie wybucha co roku. Powtarzam sobie wtedy, by nie płakać, a śpiewać. Znam przecież dwanaście piosenek partyzanckich.

Pani Maria twierdzi, że prymat paradygmatu romantycznego skończył się już w naszej kulturze, ale we mnie to mieszka i gryzie. Coś z tym trzeba uczynić, bo przyjadą spychacze i wszędzie zrobią parki.

Znakiem czasu są graffiti na pomnikach pamięci narodowej. W pewnej europejskiej stolicy widziałem tylko jedno *graffiti*; miało polski tekst.

Ja oczywiście dwuję dostałem z romantyzmu, a przecież mój wiersz odczytano na szkolnej akademii zorganizowanej z okazji rocznicy rewolucji.

Wieczorem pojechaliśmy z babcią na daleki cmentarz. Na niebie widoczna była tupa, a ciepło zniczy ogrzało mnie na długie lata. Przydaje się to szczególnie dzisiaj, gdy wyraźnie ochłodziły się stosunki międzyludzkie.

Dostojewskiego uwielbiam za dialogi. Ze zgrozą wysłuchałem zdania pana Franciszka Nieckuli, że teksty w podrzędnych amerykańskich serialach są jeszcze lepsze. Sprawdziłem. Ma rację.

Kiedyś kupowałem dropsy i świat natychmiast stawał się słodszy. W delikatesach pachniała kawa „super”; sklepowy młynek chodził na okrągło. Ale przyszły

